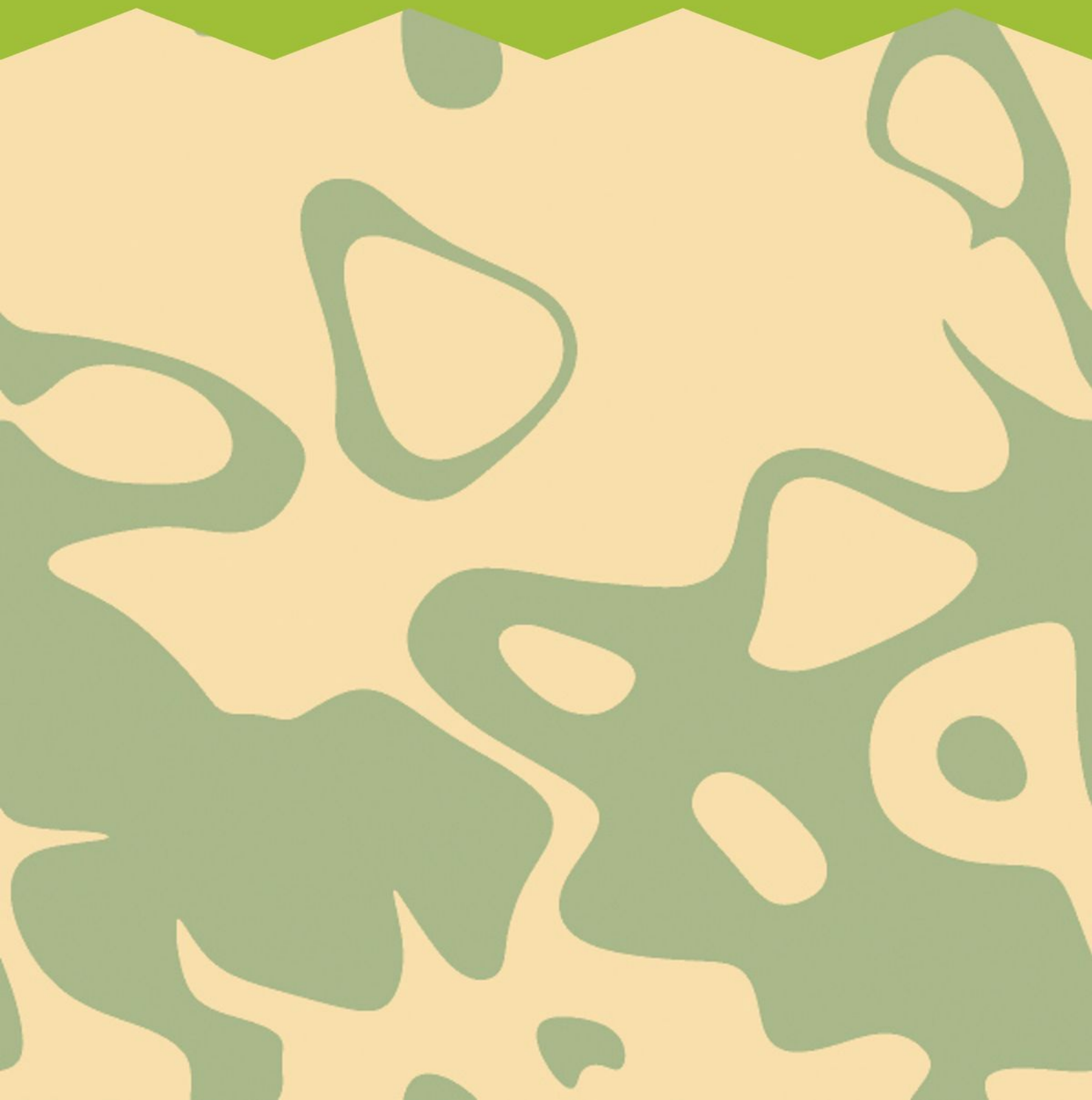


Świt



FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

Świt

Ciemno. Wysoko, na gankach, nad przepaścią podwórza miejskiego zawieszonych jedne nad drugimi, za dnia snują się codzienności, dudniąc obcasami, szmer spódnic dolata stamtąd... Teraz cicho. Deski tylko tu i ówdzie rozsunięte, tak iż z dołu widzisz przez szpary niebo, a w dzień, idąc gankiem, patrzysz ze strachem wprost w kałużę, nisko pod tobą na ziemi.

Ciemno. Nie głosi życia ruch ni szmer ciągły, który jest za dnia bytu znamieniem... ciemno, czerń zaś ta, zda się, leży wprost na piersiach twoich, jak ziemia na rzuconym w dół i zasypnym psie bezpieczeństwa.

Ciemno. Nie wybiła godzina wstawania nowych radości, a czarność leczy rany wczorajsze... chowa pomarłe stworzenia... dobra jest bowiem dla tych, co już wyrosli spod opieki słońca... dojrzeli do WIELKIEJ PODRÓŻY.

Ciemno. Ale choć oczom, co mają po ziemi szukać swych pożytków... uciech... i miłości, światła za mało, patrzmy, czy na bezjawej pustaci nie załśni tu kędyś ślad PRZE-WODNIKA.

Nad miastem wysoko Bóg-Orzeł przed świtem, Bóg-Orzeł mocny, dalekowidz nad dalekowidze wisi na rozpostartych skrzydłach i patrzy.

Nim świat się z nicości wychyli, idzie z dołu niby oddech śpiącego, gorąca fala, mdła, niemila.

Linie zaczną nabierać znaczenia, staną się znakami, z plamy wstanie kształt, rzecz żywa, stwora śpiąca albo rzecz, co kryje w sobie żywe.

On, patrzący z góry, wie dobrze, że to wszystko jeno symbol. Kontur światłem określony, plam parę. Tajemnica na przykład słońca przez to, że na nią patrzymy co dnia, nie staje się dzięki temu jasną... my jeno, my patrzący kujemy słowa i stajemy się dewotkami, co skutkiem częstego sypiania po kościołach mniemają, iż mogą z familiarnym uśmiechem patrzeć, jak się w rękach kapłana dokonywuje przemiana prochu ziemi w BOGA żywego...

On też patrzy, chcenie swe twórcze odsunawszy ręką od działania, jak się odsuwa natrętne dziecko. Patrzy na zjawę błędną, co dziwną, zygzakowatą drogę zakreśliwszy, od wczoraj spadła ot tu... po wiekach czy sekundach, nie wiadomo... pod bramę kamienicy dotąd zamkniętą¹ i drżąc ze zimna, przytulona u proga czeka... czeka smutnie, by wpaść co żywo... co żywo... i nie płacąc ODŹWIERNEMU-LOSOWI, który otworzy skrzypliwie wrota, co prędzej wbiec na schody... po dwa... po... trzy... skacząc do siebie do łóżka... do codzienności, watowanej cichością półmroczną, do spokoju, odrętwienia.

On się nie złudzi niczym, choć wnet się „życie” wynurzy, to jest to, co ja, ty, on, my, wy, oni... zwiemy znanym i bliskim... my, kiepscy astronomowie, co nie świadomi pokrewieństwa gwiazd, tworzymy konstelację pozorów, fakty, majaki, nicość na nicości, głuszę w milczeniu, ciemń na czerni... słowa.

Coś leci pustymi ulicami. Coś tętni donośnie, pogłos wzrasta... przybliża się.
Jakiż to wczesny znak życia?

¹zamknięty (daw.) — dziś: zamknięty. [przypis edytorski]

Nie jest to pewnie wóz-śmietnik, bo dzwoni inaczej, sunie powoli... wiedząc, że co krok zatrzymać mu się trzeba, by nowe brzemie nabrać na się.

Nie pora mu zresztą jeszcze. Jeszcze ciemno i wóz śpi cicho, czyściuteńko wymieciony z wczorajszych obrzydliwości...

Coraz to głośniejszy tętent. To podkowy. Koń leci po nierównym bruku... rzuca się naprzód jak ryba we wodzie... pędzi wśród nocy.

Mignął w kopczącym świetle latarni dalekiej cień i poszła od zaułka do zaułka pogłoska:

Na rozpędzonym koniu, jeździec... do ciała przywiązany duch... duch jeszcze przed chwilą promienny, teraz poczerniały jak ośniedziałe złoto.

Lecą. W omdłym ręku ducha nad ranem zwolniały wodze, czy chciał może doświadczyć siły swej... i uległ? Nie wiadomo. Koń niesie jeźdźca. Ratunku nie ma... Noc... ciemno... pusto... ni żywego człeka...

Pędzą... tam... ku... rzece... czy dokądś...

Może w ostatnią przed świtem kałużę użycia, świadomi, iż powstydzic się przyjdzie słońca...

Nie. Pędzą w dół, ku rzece... Niechby się wreszcie bestia i zatopiła... rzeka się dziwnie szybko sama oczyszcza... ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

Łomocą po bruku podkowy, odbłysek skier krzesanych dolata... zniszczała cała cisza przedświtowa. Błądny tułacz pod progiem, który śnił o domu, nie mając czym doń wejścia opłacić, zbudził się i uczył, że zimno, że bardzo zimno... Huczy po ulicach przeraźnie², a echa echem podają gryzące, pilne pytanie:

Ale duch... duch... kto odwiąże ducha?

Zza węgła domu, ze szpary pomiędzy murem a parkanem ogrodu wypełzło coś. Le-ciuteńkie, szarawe tony przylgnęły już do ścian, choć na niebie zmian nie widać wyraźnych ku jasności. Zda mi się, widać łeb. Wieczysty, pretensjonalny żal, jaszczur zielony powraca z łowów nocnych.

Rusza się, miele żuchwami jaskry, stokrocie... Jada wszystko, mówią... wszystko, co się zjeść daje, tylko baczy, by nikt nie widział... przecież on „żal”.

Widzę go. Napęczniały, opity wodą, lśniący stoi w niepewnej, rodzącej się poświacie, u okienka piwnicznego i czeka na coś.

Jeszcze noc... jeszcze się liczy noc, jeszcze nikt nie widzi, że oto nażarł się znowu, że syty i dlatego to nie ginie... żyje ciągle, ciągle...

Syty? Wstyd... wstyd... Spaliłby się ze wstydu, okryłby się płomieniem przed oczyma człowieka, który by dostrzegł, że jada po nocy... do... sytości... Skandal!

Podniósł łeb... miele gębą, a z paszczy zwisają mu pęki ziela rozmaitego, nasiąknięte³ wodą.

Wszyscy wiedzą, iż on... on... to tak zwana: „potrzeba duszy”... No, tego by jeszcze brakło.

Łypie oczami i spoziera w górę... Patrzy w górę. No, Boga nie wstyd mu chyba... któż się tam Boga wstydzi... to się nie liczy... to się nie liczy...

Spojrzał raz... drugi... i postąpił krok jeden, drugi i wsunął się do piwnicy.

Ale Bóg-Orzeł nie patrzył na niego.

Rozmawiał właśnie z wiatrem, który zerwawszy płachtę jakąś ze szczytu wieży ratuszowej, rzucił ją na plecy czekającemu pod progiem, zmarzłemu na poły.

Już świta, świta. Czuję, że kędyś hymny płyną, trąby grają. Modlitwa poważna, zamysłona. Jakie to JUTRO, to wstające... nie wiadomo wcale... może to wielkie...

Wznoszę się na fali modłów, jak dym pod obłoki.

Tu cicho jeszcze i pusto, nic nie gra... przywidziało się.

Jasność tylko rozlewa się z wolna, prostuje, kładzie na ziemi i patrzy z niska, skośnie po samej powierzchni ziemi.

²przeraźnie — dziś popr.: przeraźliwie. [przypis edytorski]

³nasiąknięty (daw.) — dziś: nasiąknięty. [przypis edytorski]

W dole, słyhać skrzyp. Otwarto drzwi starej wieży. Idzie stary dzwonnik ogłaszać dzień nowy.

Ptaka zaśnionego⁴ na ramieniu nie zbudził. Jak spał w fotelu, wstał i idzie. Idą razem głosić dzień nowy, ach... jaki dzień... jaki... czyli nie ów... ów, o którym się potem śpiewa dzieciom w kołyskach leżącym... dzień-baśń szczęścia...

Wstawaj ze snu, dzwonie.

Zwieszony kielich dzwonu jest jak kwiat o stulonych płatkach korony, w ten szary przebrzask.

Śpi. Szemrze wiatr, słabo coś na rąbku spiżowym wygrywając. Szarpnięcia trzeba. Drżąca ręka starca spoczęła na ramie okiennej, dzwonnicy, siwa głowa zwrócona ku wschodowi. Stoi.

Serce uprzedziło dzień, przymusiło stare nogi, ręce... Serce bywa czasem dokuczliwe.

Szarość się srebrna rozplynęła wokół, a z tej topieli wynurzać się powoli zaczęły zębate szczyty, ostre igły, długie grzbiety nasiekane i spuściste garby dachów.

Jako prawda uznane i dlatego natrętne, co dnia się narzucające panowanie złudy po-
cznie się niebawem.

Chociaż kto wie... nie powiedziano wyraźnie, po czym to poznamy ów świt inny, upragniony.

Ostatnie momenty skupienia w ciszy i bezkształcie, kiedy dusza nie rwie się jeszcze w stu sprzecznych kierunkach.

Słyszę pacierz poranny obłoków poważnie sunących, ledwo zarysowanych na niebie.

Dzwonnik czeka z ptakiem zaśnionym na ramieniu.

Bóg-Orzeł posłyszał oddech przyspieszony, gorączkowy. Tam w dole pracował człowiek, śpieszył się...

Z wysiłkiem, z napięciem całej woli pracował ów człowiek łopatą. Wbijał ją w twarde, kamienisty grunt i wyrzucał w powietrze czarne, rozlatujące się gruzły.

Padają z ciężkim łokotem, podobnym do westchnienia.

Tak, tak, pomyślał, śpieszy się... a wiedząc, iż mu ulży i sił doda, pytając (bo człeczkowi pomaga rozmowa o wielkim celu), zagadnął:

— Hej! Jakże tam robota?

Gruzły przestały padać, łopata szczękła⁵ o bruk, a z dołu doszły wyrazy wyrzucone ze zdyszanych piersi:

— Idzie... idzie... bo ja wiem zresztą... Może... gdyby noce dłuższe... gdyby długo, długo pożyć...

— Albo mieć komu zostawić łopatę...

— Hm... to trudno... trudno... Wolałbym dożyć...

— Nie bój się! Nie bój! Dożyjesz... myślę, że dożyjesz...

— Tak myślisz... ano to i dobrze...

Znowu rozległo się pośpieszne kopanie. Człowiek pracował, by nagrodzić czas paru sekund na rozmowie zmarnowany... Tętniło o kamienie żelazo, padają z ciężkim postę-
kiem wielkie gruzły ziemi... a nad pracującym coraz to się robiło jaśniej i jaśniej.

— Co on robi? — spytałem wszystkowidza⁶ zawieszzonego wysoko.

I usłyszałem werset znany, ach znany... ale zapomniany werset z pieśni *O krzyżowaniu Tęsknoty*.

„I dam im moc wytrwania, iż ze świata ducha uczynią przekop w życie
codzienne, a wody niebiańskie spłyną i omyją, i użyzną je... i pięknym się
stanie”.

Zawieszony na skrzydłach wysoko Bóg-Orzeł patrzył na wznoszący się, to znów chy-
lący grzbiet pracującego z wysiłkiem i przytakiwał głową jego ruchom.

On, zdało mi się, on jeden, jedyny na całym świecie przytakiwał mu... Chociaż może...
Może gdzieś w ciemności skryty... zadyszany, z sercem głośno tętniącym któż wie jakimi

⁴zaśniony (neol.) — dziś raczej: uśpiony. [przypis edytorski]

⁵szczękła — dziś popr.: szczęknęła. [przypis edytorski]

⁶wszystkowidz (neol.) — wszystkowidzący. [przypis edytorski]

prześcieniami i czasami odległy mozolnie pracuje jeszcze ktoś inny, śpiesząc się, nim wszędzie słońce i przywiedzie przechodniów... brat po duchu i tęsknocie nieznany... od wieków i na zawsze niepoznawalny... daleki, a bliski jak druga gwiazda jednej konstelacji...

Grzbiet ruszał się, wyblyskiwał z ciemni i tonął w niej znowu, ostrze łopaty migąło w powietrzu rozjaśnionym już teraz bardziej.

I tak pracowali obaj, ten na ziemi i ten w górze, a posłaniec jutra, anioł skrzydlaty stał opodal i czekał.

Wiedziałem... gdy odejdzie pracownik Boga, anioł usiedzie⁷ na wale świeżej ziemi i nakryje przekop skrzydłami.

Wiedziałem... czuwa tak co dnia... co dnia... rękami odsuwając różnych ludzi... różne zamiary... strzeże roboty świętej przed pysznym bezrozumem jawy.

Posłyszałem westchnienie. Ledwo zadrgały odeń szyby, ledwo się ujawniło, ale ktoś wie, jak silne było w miejscu swego poczęcia, jak wielkiego bólu było znakiem...

Zbudził się ten tęskniący, który czeka odpowiedzi ziemi i waży w ręku każdą zjawę.

Zbudził się. Ciemno było wokół, nic nie widział, czuł jeno, że leży na wonnej, cieńuchnej pościeli, a w powietrzu nad nim wisi nieruchoma fala zapachu.

Palilem wczoraj, myślał, kadzidło, leżałem krzyżem przed obliczem wyśnionej pierwszej litery imienia nowego Boga... ot tam leżałem z jękiem wielkim:

Zjaw się! Zjaw!... błagałem... i wszystko nadaremnie.

Tak było: ...w cudnej, kamieniami zbieranymi po całej ziemi, siedmiobarwnymi, najdroższymi klejnotami sadzonej kadzielnicy ze złota palił się on sam w męce nieopisanej miast⁸ kadzidła, ku czci Boga.

Zjaw się! Zjaw!... błagała jego dusza.

Jawiły się twarze przerozmaite, ale wołał do każdej zjawionej⁹:

— Nie ty! Nie ty! Nie ty!

Zdawało się, jakby tęsknota jego bezskrzydła była i odziewała się jeno w szaty szarej barwy, podjęte z pyłu dróg publicznych ziemi.

— Nie ty! Nie ty!... — wołał. — Zdejmijcie maski, o bogowie, albowiem znam was wszystkich i bibliotekę posiadam świętych ksiąg ogromną.

Przestali mu się tedy zjawiać.

Owinęły się chmury jak u szczytu jedli o jego duszę i dumał skryty, odpędziwszy kształt wszelaki.

Dumał w ciszy o promieniu siły bezformej¹⁰, bezdźwiękiej¹¹, o przelewaniu się jej w próżnię od wieków... w próżnię¹² straszna, gdzie wyzbywszy się wszystkiego prócz bycia, tkwiła zawieszona, bezojczyźniana... serce ludzkie... on sam.

Marzyło mu się dalej pochłanianie owej siły, ekstaza sytości wiecznością... niewysławialne obcowanie z Niewysłowionym.

Zbudził się... ciemno...

— To nic — myślał — wszak odpędziłem kształty, uczyniłem się naczyniem próżnym, w które spływa napój widzenia.

Ciemno... to dobrze... to jest światłu żywemu uczyniona droga, by przyszło, przez mrok się ścieląc...

Objąć ją, tę ciemność silnie w ramiona, by nie pierzchła, by nie odeszła, jak odchodzi wszystko...

Zerwał się, ukląkł, wyciągnął przed się ręce chciwe...

Nagle tuż obok usłyszał lekkie westchnienie, jakby kogoś budzącego się.

Zdrętwiał nagle, nie śmiejąc głowy zwrócić ku stronie, skąd głos doleciał.

Myśl jego szeptała bezgłośnie, błagalnie:

— Zjaw się! Zjaw się!

⁷usiedzie (daw. forma) — dziś: usiedzie. [przypis edytorski]

⁸miast (daw.) — tu: zamiast, w miejsce czegoś. [przypis edytorski]

⁹zjawiony (daw.) — dziś raczej: zjawiający się. [przypis edytorski]

¹⁰bezformy (neol.) — nieposiadający formy. [przypis edytorski]

¹¹bezdźwięki (neol.) — niewydający dźwięku. [przypis edytorski]

¹²próżni (neol.) — próżnia. [przypis edytorski]

Ale cisza znów zaległa głęboka, więc oprzytomniawszy nieco, począł szukać wokoło siebie, a jednocześnie, z wolna zaczęło wracać wspomnienie dnia ubiegłego... z cieniów świadomości, niby konary z mgieł pod wiatru wiewem, mgliste zrazu, potem coraz to jaskrawsze, wylaniały się kształty.

Za każdym takim uświadomieniem, jęcząc boleśnie, jakby go biczowano u słupa, szeptał:

— Ona... tak... ona... ona... włosy jej, ramiona... tak... oczy... to... ona... tylko... ona...

Kilka łez gorących spadło z wysoka na twarz zaśnieonej, więc ocknęła się i wyciągając w ciemną dal ręce, spytała pośpiesznym, cichym szeptem:

— Co ci to ukochany? Co ci to?...

Dzwon! Dzwon! Dzwon! Bije dzwon!

Strzał armatni wstrząsnął szarą, ciężką oponą co niebo słoniła¹³.

Pękła.

Drugi strzał.

Sieciami srebrnych pęknięć pokryły się niebiosy, a tam, gdzie, zda się, padł pocisk tonu, na wschodnim skłonie firmamentu, złota rozlała się krew.

Ścichło znów.

Bije dzwon. Kręgi się podnoszą wirujące szybko. Wicher je podtrzymuje w locie. Płoszą rozpędem czarniawe zbite, kry- chmury.

Uciekają, tłoczą się, jak z owczarni wypędzane przez psa czarne barany. Zbijają się we wał¹⁴ na zachodzie, potem toną w jakimś przepastnym, dalekim morzu.

Wtem nagle człek pod progiem czekający, okryty od zimna sztandarem z wieży... podniósł na światło coś błyszczącego, a Bóg-Orzeł spojrział z góry. Pochylił się na potężnych, nieruchomych skrzydłach i spytał:

— Cóż to masz?

Człek drgnął. Trwożnie obejrzał się wokoło i schował w zanadrze rzecz trzymaną w ręku.

— Nie bój się! To ja — krzyknął mu spod gwiazd wszystkowiedzący.

Obłądnik spojrział w górę i kiwnął Orłowi na dzień dobry głową. Znali się... dobrze się znali...

Wyjął, co skrywał i podnosząc rzecz błyszczącą, zawołał:

— To... z samego... dna... z sa-me-go dna...

— Skarb?

— Nienazwany żadnym imieniem... przeto nie będą wierzyć, ale skarb. Ja wiem.

— Więc im go nazwij!

Ruszył ramionami i uśmiechnął się wzgardliwie...

— NAZYWAJĄCY jeszcze śpi... ty sam wiesz... SĘDZIA WARTOŚCI NOWYCH jeszcze się nie narodził... nazywać nie można, bo w szkło się zmieni każda perła z samego dna dobyta...

Patrzył na rzecz trzymaną w ręku i kiwał smutnie głową. Potem westchnąwszy, rzekł:

— Ot i koniec, rzekłem szkło... i stało się szkło... Nie pora spoczywać...

Ruszył spod proga, w dalszą tułaczkę, a Bóg-Orzeł nie namawiał go, by spoczął... Daremne... jakby daremnym było prosić czas, by stanął, choćby to miało przyczynić życia komuś, kogo się bardzo, bardzo kocha...

Szedł prosto przed siebie, drogi nie pytając, a z pleców zwisał mu sztandar wypełzły, płaszcz darowany przez wiatr.

LOS-ODŹWIERNY sapnął głośno i kopnąwszy koldrę, spuścił na ziemię długie, kosmate swe nogi.

Przeciągał się, stojąc nad pustą miednicą.

¹³ślōnić (neol.) — zasłaniać. [przypis edytorski]

¹⁴we wał — dziś: w wał (choć: we wtorek). [przypis edytorski]

Zadumał się... Jakiż to u licha dzisiaj dzień... ..ha?... Spojrzał w okno, posłuchał przez chwilę... nic.

I po rozwadze, zważywszy, że dzień to bardzo sobie zwyczajny, a do onego JUTRA pewnie jeszcze dość daleko i czasu dość... uznał, że myć się nie warto.

W otwartej bramie stał dobrą chwilę.

Pusto było. Nie czekał nikt... ale to nikt dosłownie, jeśli mowa o ludziach. Kot jeno wraz z odzwiernym wyszedł z podwórza znużony nocnymi łowy¹⁵, a nienapasiony nimi, i wyprężywszy grzbiet, machał ogonem z rezygnacją.

ODZWIERNY-LOS pomyślał: Nie czekał nikt... znowu dziś nie czekał nikt... hmmm... to dziwne... nie ma tego, kto by plon nocy dniowi przynosił... Przepaść... istna przepaść... bez mostu... bez najwęższej kładeczki... Zresztą... diabli mi tam do tego... Nie moja w tym głowa! Niech ich tam siarczyste pioruny...

Klął, ale nie był pewny. Przeciwnie, gdzieś w głębi świadomości czuł, że oto mogło się stać, iż wielu, wielu odeszło, znudzony się staniem... dzwonieniem nawet... dzwonieniem... Odeszli, zrzekłszy się schrony¹⁶, przyjaciół miłości... bóstw mających tu swą świątynię... bóstw, o które spytać zawsze warto, bo nie wiadomo, które zostanie ukoronowane na Pana nad Pany, skoro nadejdzie on dzień... on wielki... oczekiwany...

Przez chwilę stał zapatrzonego w niebo, jakby śledził drogę dusz, co ostatniej nocy odeszły do OJCZYZNY.... potem powiódł po ziemi oczyma, jakby stóp śladów szukając w złe i dobre drogi idących po ciemku, za niewyraźnym głosem... dumał też o tym, co mu i czy mu cośkolwiek INNEGO robić wypadnie dzisiaj.

Stał nierad wracać do zwyczajnej pracy, stęskniony za odmiennym bodaj ruchem rąk...

Nagle tupnął.

— Psiakrew, sto tysięcy diabłów!! — i splunął z pasją.

Złości było dość powodów... wreszcie i do siebie się zwracał, do ogarniającej go ociężałości, i... do... owych, do owych, co... pono¹⁷ myśleć mieli o jakimś ponagleniu, o jakimś sposobie, by nareszcie się stało coś... coś... co przepowiedziane...

— Zatracona ich mać! — mrucał, idąc w głąb podwórza, ku swej izdebce, gdzie głośno chrapiąc, spała wśród pierzyn żona jego, tuląc do siebie dzieci... jedno... drugie... trzecie... czwarte...

Stał chwilę z rękami w kieszeniach spodni i patrzył na śpiących, potem splunawszy niechętnie, wziął z kąta miotłę przytartą już porządnie i wyszedł.

Idąc, mamrotał końcami warg pacierz codzienny. Czasem przymieszała się do słów nabożnych, jakowaś lżejsza kłątwa, czasem je rozdzieliło splunięcie...

Zamiatął się, podnosząc tumany kurzu.

*

Zadudniły ganki, skrzypnęły drzwi, ukazały się wnętrza straszne, nieposłane łoża rozpusty, stoły ciekące winem, twarze się wychyliły pijane, żółte, blade, o podkrążonych oczach... a wszystko to spozierało tam, skąd szedł dzień... a wszystko pytało niemo dnia, co szedł:

— Coś ty zacz?... kiedyż nadejdzie ów... wielki?

Zajęczały deski pod stopami, biedne deski ganków spiętrzonych jedne nad drugimi... Kobieta z wielkim koszem na ramieniu pobiegła do miasta po sprawunki...

Bóg-Orzeł z wysoka rzucił pióro z swych skrzydeł do zabawy dziecku, co zadumane na kupie przygotowanego do wywózki śmiecia patrzyło na swe ręce bezczynne.

Podniosłem ku niemu oczyma. Wisiał na błękitcie nieruchomy, maleńki, teraz nie-dostrzegalny tym, którzy zajęci są zawsze rzeczami położonymi nisko.

Wpatrzyłem się we wszystkowiedza, przed którego okiem, mówią, nic złego ni dobrego utaić się nie może... i zdawało mi się, że bystrooki, zwany latarnią morską świata, patrzył za czymś z wytężeniem, a dojrzeć nie mógł.

¹⁵nocnymi łowy — daw. forma N.lm; dziś nocnymi łowami. [przypis edytorski]

¹⁶schrona — dziś: schron a. ochrona. [przypis edytorski]

¹⁷pono (daw., gw.) — podobno. [przypis edytorski]

Wisiął na zawrotnej wyży i zwarty w sobie, skupiony, cichy wypatrywał na wielkiej, niezmierzonej rozchwiei zjawisk, tropów onego marzonego, idącego z bezmiarów przestrzeni, wielkiego świtu ziemi.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-swit>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).